Nr. 12 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, grudzień 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI — **W grudniu wolno polować** na wszelką zwierzynę łowną, prócz kuropatw.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Okres ostatniego trzechlecia pełen wszechstronnej działalności Towarzystwa na polu naszego łowiectwa — wieńczy dzieło historycznego znaczenia.

Dziełem tem było obesłanie

I. MIĘDZYNARODOWEJ WYSTAWY ŁOWIECKIEJ W WIEDNIU 1910

trofeami fauny myśliwskiej, zdobytemi w 30-tu latach ostatnich na ziemi polskiej, będącej wówczas pod zaborem austrjackim.

Ponieważ genezę tego wielkiego wyczynu Towarzystwa znamy z pracy niniejszej tylko fragmentarycznie, należy więc ująć tu w ramy wszystkie szczegóły, by dać całokształt jego obrazu.

Oddział galicyjski na tej gigantycznej wystawie łowieckiej — jakiej nigdy przedtem świat nie widział — był wspaniałem wcieleniem myśli i gorąco upragnionego celu Wydziału naszego Towarzystwa, a poza tem chlubnem świadectwem owocnej pracy dwuletniej Krajowego Komitetu wystawowego.

Dzięki energicznem usiłowaniom tego zespołu i ofiarności grosza szczupłego grona — bo zaledwie 107 na 1.240-tu wówczas — członków naszego Znaku, którzy snadź gorąco rycerskie tradycje ojców umiłowali, stanęło dzieło to, kosztem 36.000 koron, na widowni wszechświatowej wystawy, zdobywając polskiemu łowiectwu w ówczesnej Galicji — nowy blask sławy — dwiema nagrodami światowego rekordu wraz z medalem złotym.

O zainteresowaniu, jakie trofea te budziły wśród najwybitniejszych znawców myślistwa, ich uwagi i oceny oraz najdokładniejsze recenzje fachowe obcych i naszych krytyków — zawierają roczniki „Łowca“ 1910 i 1911.

Wobec faktu jednak, że czasopismo to z onej doby należy dziś — skutkiem działań wojennych już do żadkości — jak sławne Elzewiry —, a tem samem stało się źródłem nie dla wszystkich przystępnem, trzeba więc w półwieczu dziejów Towarzystwa wspomniane opisy wznowić i wieczyście je utrwalić.

Niech ta promienista chwila triumfu Towarzystwa obecnie ożyje w pamięci tych, którzy do wzniesienia pomnika sławy naszemu łowiectwu, cegiełki swe dołożyli; dalej niech wyczyn ten poznają myśliwi polscy doby dzisiejszej, którzy — a jest wśród nich wielu takich — wystawy wiedeńskiej 1910 roku nie widzieli; potomnym wreszcie niech będzie pięknym wzorem, godnym naśladowania działalności naszego Towarzystwa łowieckiego w onej epoce.

SZCZEGÓŁY HISTORYCZNE.

Pod względem architektoniki wyróżniał się galicyjski oddział ponad inne tem, że nie był „Salonem“ lecz o poważnych linjach stylu „Galerją“ trofeów myśliwskich, ujętych w ramy ornamentyki o motywie zdobiącym krużganki królewskiego zamku na Wawelu w Krakowie.

Dekoracji tej, zaprojektowanej przez artystę malarza polskiego, prof. Stanisława Rejchana — dokonała, według planu arch. Kazimierza Osińskiego firma dekoratorska Ryszarda Ludwiga w Wiedniu. Instalacja zaś trofeów, była dziełem wielkiego smaku preparatora zwierząt, Franciszka Abrahama — z wyjątkiem grupy skolskiej, instalowanej przez firmę „Bracia Hodek“. Wśród licznych preparatów, wyróżniały się też robotą artystyczną egzemplarze sporządzone przez preparatorów Hartel i Kalkus we Lwowie.

Dla łatwiejszego przeglądu okazów, ściany Galerji podzielono na 26 pól i oznaczono je w arytmetycznym porządku cyframi rzymskiemi od I. do XXVI., powołanemi w naszym katalogu.

Zanim nastąpi opis cennych klejnotów myśliwskich tego skarbca św. Huberta, które spotkały się ze skalpelem badaczy przyrody i ich oceną — stwierdzić należy, że oddział galicyjski na tej wystawie nie był obrazem polskiego łowiectwa w pełnem tego słowa znaczeniu. Galicja bowiem sama, bez współudziału ziem naszych pod zaborem pruskim i rosyjskim, ograniczyć się musiała jedynie do wystawienia eksponatów myśliwskich z doby — jak już powiedziano — ostatnich lat trzydziestu, wyłącznie w kniejach tego kraju zdobytych.

Mimo więc świetnych tradycji i sławy, jakie łowiectwo polskie posiada, nie mogła go jedynie ta część kraju przedstawić retrospektywnie z jego zabytkami muzealnymi,*) ni też z tegoczesnymi nawet okazami żubrów, łosi, bobrów, kozic, świstaków i wogóle zwierza żyjącego w puszczy białowieskiej na Litwie, na bagnach Polesia, w Tatrach polskich i wreszcie w Pilawinie, sławnym — przed wojną — z rozlicznych gatunków aklimatyzowanej zwierzyny. Poza tem brakowało temu oddziałowi wspaniałych okazów galicyjskiej fauny, wystawionych osobno przez gal. Zarząd dóbr państwowych, wreszcie trofeów, które zdobyli nasi i obcy nemrodzi w galicyjskich łowiskach, atoli wystawili je bezpośrednio w hali konkurencyjnej, jak arcyksiążę Leopold Salwator, ks. Hohenlohe, Stanisław hr. Szeptycki, ks. K. Trautmansdorf, hr. Reseguier i inni, z pomiędzy których wielu otrzymało nagrody w konkurencji.

Wobec tego nie olśniewał oddział galicyjski oka widza — jak inne pawilony sąsiednie, widokiem okazów, przedstawionych muzealnie według historycznego rozwoju, w przepychu dekoracji makat, malowideł, starej broni i wogóle przedmiotów będących z łowiectwem w związku. Natomiast myśliwy — znawca, a nie arche-

---

Muzeum im. Dzieduszyckiego i inne — żadnych zabytków myśliwskiej przeszłości naszej nie dostarczyło.

olog, rozkoszował się tu widokiem zdobyczy łowieckich tak wspaniałych, iż rzeczywiście rzetelny budziły one podziw.

Dowodem tego niezbitym jest to, że oddział nasz dostarczył Pawilonowi konkurencyjnemu wystawy sporo trofeów, z których olbrzymi niedźwiedź, ubity przez Andrzeja hr. Potockiego, tudzież rożki sarnca (rogacza) ubitego w Nienadowej — ziemia przemyska — wł. Stanisława hr. Mycielskiego — zdobyły rekord światowy i złoty medal. Liczne zaś inne otrzymały bądź złote medale, bądź też nagrody I., II. lub III. klasy.

Do tych wyjątków należą wystawione w powyższym pawilonie konkursowym trofea dostarczone z naszego oddziału — jak następuje:

Nagrodę I-szą:

Przepotężne szable odyńca hr. Juljusza Bielskiego z r. 1889 (dług. 24 cm.).
Wieniec jeleni (18-tak) hr. E. Sylva Taoruca (Polanica);
„ „ (20-tak) hr. K. Weissenwolfa (Witlina);
„ „ (14-tak) ks. H. Liechtensteina (Tatarów);
Rożki sarnie z r. 1907 ks. Janusza Radziwiłła.
Dwie pary rożków sarnich (z Grobli) ks. K. Trautmannsdorfa
Rożki sarnie hr. Reseguier'a z Niska.

Oprócz tego kolekcja rożków sarnich hr. Reseguier'a z Niska otrzymała złoty medal.

Nagrodę II-gą:

Szable odyńca hr. J. Bielskiego z r. 1906.
„ „ hr. Reseguier'a.
Wieniec jeleni (18-tak) ks. Lichtensteina (Tatarów).
„ „ (22-tak) A. Fedorowicza (Witlina).
„ „ (18-tak) dr. A. Krisera (Kruszelnica).
„ „ (18-tak) hr. Zdzisława Tarnowskiego;
„ „ (12-tak) hr. „ „
„ „ (16-tak) zbiory krzeszowickie;
„ „ (16-tak) „ „
Rożki sarnie ks. Janusza Radziwiłła z r. 1908;
„ „ hr. Reseguer'a z r. 1905;
„ „ St. hr. Szeptyckiego z r. 1909;
„ „ (8-mak) Juljusza Kownackiego z r. 1894.

Nagrodę III-cią uzyskały:

Wieniec jeleni (14-tak) hr. Sylva-Taoruca (Polanica);
„ „ (14-tak) Moslera (Wełdzirz),
Rożki sarnie — 3 pary — zbiory krzeszowickie z r. 1875, 1901 i 1904.

Zważywszy wszelako, że winniśmy tu przedstawić skończony obraz tej wielkiej imprezy naszego Towarzystwa, należy przeto zarys powyższy uzupełnić łączącymi się z nią wszystkimi szczegółami.

Otwórzmy więc na oścież podwoje naszej Galerji, by w całej pełni okazać jej wnętrze.

Owoż na pierwszym już kroku uderza tu oko widza pełne estetycznego smaku rozmieszczenie i ugrupowanie stafażu obrazu. Odrazu wyczuwa się, że umiejętna ręka znawców, obdarzonych zmysłem piękna, dzieła tego dokonała.

A teraz kolej na poszczególnienie i opis wystawionych oraz premjowanych w tej Galerji trofeów myśliwskich. C. d. n.



Wyrób amunicji małokalibrowej.

Red.: Podajemy poniżej ciekawy artykuł umieszczony w „American Rifleman" w streszczeniu por. Podoskiego.

Niewielu strzelców małokalibrowych miało sposobność zwiedzenia fabryki amunicji, znając zaś zainteresowanie do balistyki i kwestji uzbrojenia, jakiem odznaczają się adepci sportu strzeleckiego, uważamy, iż dobrze będzie podać pewne wiadomości o wyrobie takiej amunicji małokalibrowej, która odpowiada wszystkim wymaganiom co do precyzji i kosztu.

Zaznaczymy przedewszystkiem, iż wyrób wszystkich gatunków amunicji, a przedewszystkiem małokalibrowej, uległ znacznemu udoskonaleniu w ostatnich latach. — Wynikło to na skutek udoskonalenia broni, na karb której trudno dzisiaj zrzucać niedostatecznie precyzyjne wyniki strzelania, ze współzawodnictwa firm, rywalizujących z sobą o pierwszeństwo z zastosowania broni małokalibrowej jako środka wyszkolenia w wojsku i w organizacjach przysposobienia wojskowego, wreszcie — i przedewszystkiem, ze stale wzrastających wymagań zawodników.

Zawody z broni kal. ·22 odbywają się dziś bowiem nietylko w strzelnicach krytych, jak przed wojną, na 12 25 metrów, a na 50, 100, 200, a nawet 250 metrów, co oczywiście pociąga za sobą konieczność nadania małemu i słabemu pociskowi wszystkich cech i wartości, zapewniających mu maksimum precyzji.

Nabój kal. ·22 składa się z następujących części: Łuska, — spłonka zapalająca, — proch, — pocisk, — i smar na pocisku.

Łuska jest wykonana z mosiądzu o bardzo wysokim procencie miedzi, zwykle 95% miedzi i 5% cynku.

Wymagania jakie stawiamy łusce są:

— Łuska winna być dostatecznie twarda, aby się nie deformowała i nie ugrzęzła w komorze broni.

— Kresa łuski musi posiadać odpowiedni kształt, aby dobrze utrzymać materję zapalającą i umożliwić jej zapalenie po uderzeniu iglicy.

— Twardość kresy łuski winna być odpowiednio dobrana, aby iglica mogła nadać dość silne uderzenie, nie przebijając i nie powodując pęknięcia.

Powyższe wymagania wydają się dość proste, przedstawiają jednak ogromne trudności, jeśli wziąć pod uwagę ilość rozmaitych czynności przy wyrobie naboju oraz względy masowej fabrykacji.

Mieszanina zapalająca winna być dostatecznie czułą, aby zapalić przy uderzeniu iglicy w dobrze zbudowanej broni. Nie może znów być zbyt czułą, aby nie powodować wypadków. Pozatem, spłonka musi wydzielić dostateczną ilość płomienia i ciepła dla zapalenia prochu, niezbyt wiele znów, aby nie rozerwać dna lub ścian łuski.

Naboje ·22 long rifle, stosowane do strzelania tarczowego, są zwykle nabite nie prochem bezdymnym, a jednym z gatunków mało-dymnego: „Lesmok" albo „semi-smokeles".

Pocisk musi być najstaranniej odważony i posiadać zawsze jednakowy i właściwie dobrany kształt, aby zapewnić maksymalną precyzję po odpowiedniem załadowaniu do łuski, aliaż z którego jest wykonany nie może zaoławiać lufy, z drugiej strony winien posiadać dostateczną twardość, aby zapewnić dobre prowadzenie w lufie gwintowanej.

Nadzwyczaj ważnym czynnikiem jest smar, którym pociski są powleczone. Służy do uniknięcia zaołowienia i zabicia lufy suchemi osadami, tylko dzięki niemu mamy możność oddania kilkuset strzałów pod rząd bez czyszczenia broni, nie tracąc należytej precyzji. Jedynie naboje o pociskach tłuszczonych mogą zapewnić doskonałą celność. W dodatku smar na pociskach nie może ulegać zleżeniu i rozkładowi, ani też nie powinien roztapiać się przy przechowaniu w ciepłym lokalu lub na słońcu — na strzelnicy.

Badania balistyczne określiły dokładnie, jakie są najlepsze szybkości początkowe dla danego rodzaju pocisku, to też od dokładności odważenia prochu i załadowania zależy regularność szybkości początkowej w danej partji naboji, unikając braku precyzji oraz nadmiernych ciśnień.

Detale fabrykacji są różne w rozmaitych wielkich fabrykach amunicji, jednakże zarysy ogólne są niezmienne, dlatego też możemy szematycznie przedstawić je następująco:

I. WYKONANIE ŁUSKI.

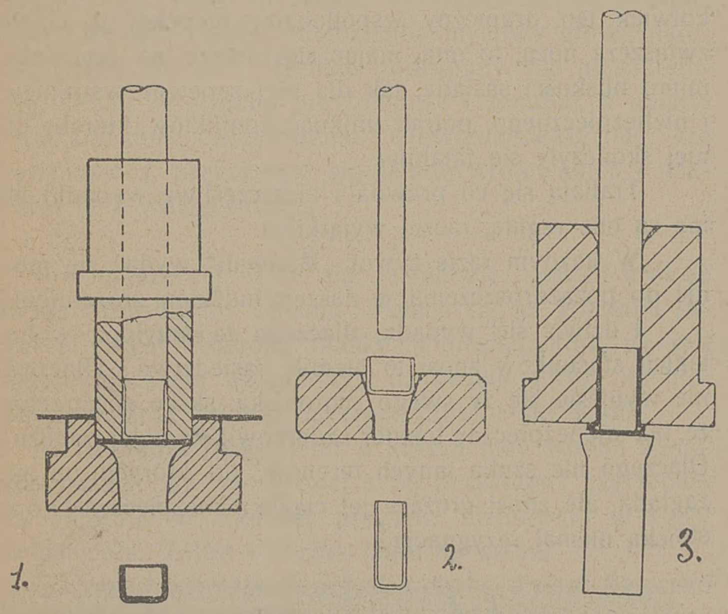
Łuskę wytłacza się z arkusza metalu o właściwym składzie, oraz odpowiedniej grubości i twardości. Samo wytworzenie tych arkuszy odgrywa dużą rolę przy wykonaniu łusek, ponieważ mosiądz musi być bez wad i skaz, jednolitej grubości i jednakowej kompozycji i wogóle w możliwie najlepszym gatunku.

Pierwszą czynnością jest wytłoczenie misek, z których następnie zostaną wyciągnięte łuski. Wykonuje to prasa i podwójnym tłoku (rys. 1). Tłok zewnętrzny odrzyna płaski krążek metalu i wtłacza go do łożyska, następnie tłok wewnętrzny przepycha krążek przez łożysko, tworząc zeń w ten sposób miseczkę.

Dalsze przerabianie otrzymanej miski jest niemożliwe dopóty, dopóki nie zostanie ona zahartowana. Mosiądz posiada bowiem tę właściwość, że twardnieje po

każdej przeróbce mechanicznej, na skutek ciepła i ciśnienia wytworzonego.

Odhartowanie wykonuje się drogą podniesienia do pewnej temperatury w odpowiednich piecach. Czynność ta jest łatwiejszą od rozhartowania stali, ponieważ ten ostatni metal musi powoli stygnąć po nagrzaniu, a ochłodzenie wodą wywołałoby ponowne zahartowanie. Tymczasem mosiądz po odhartowaniu można natychmiast ochłodzić wodą, nie zmieniając przez to jego twardości i układu.



Rys. 1. Rys. 2. Rys. 3.

Piece do odhartowania bywają nader różnorodne, odróżniamy jednak 2 główne typy — jeden, w którym miski przechodzą przez przestrzeń rozpaloną wewnątrz rury spiralnej — drugi, gdzie łuski zostają umieszczone na talerzu, wirującym nad paleniskiem, a następnie wyrzucone do wody.

Następną czynnością jest wydłużenie miski, polegające na przepchaniu jej ponownie przez łożysko, które nadaje jej średnicę i grubość ścian taką, jaką posiada łuska wykończona (rys. 2). Wydłużenie, — zależnie od rodzaju maszyn użytych, może wymagać kilku kolejnych czynności, wówczas zachodzi konieczność rozhartowania między każdą z nich. We wszystkich nowoczesnych wytwórniach podawanie misek do kolejnych pras jest zapewnione automatycznie, i praca odbywa się nadzwyczaj szybko.

Od dokładności maszyn wydłużających miskę zależy jakość i precyzja wykonania naboju, to też maszyny te powinny podlegać bardzo częstym badaniom przy pomocy sprawdzianów i stałej, dokładnej kontroli.

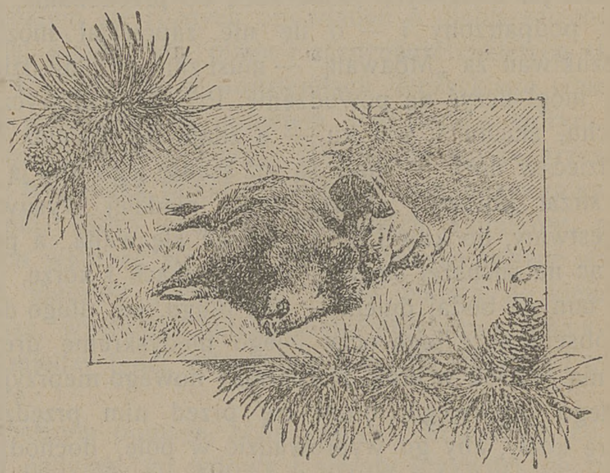
Grubość ścian i kaliber łusek są już ustalone, należy obecnie wyrównać je co do długości. Wykonuje to maszyna w rodzaju tokarni, w której łuski podchodzą kolejno przez kanał wewnątrz kręcącej się dookoła osi głowicy, zostają zatrzymane przez zatrzask, poczem opada nóż, który odcina wystającą część łuski.

Wykonanie kresy łuski wymaga umieszczenia walców mających się stać łuskami „·22 long Rifle“ w prasie, której łożysko zatrzymuje walec w odpowiedniem położeniu, poczem uderza w jego zamknięty koniec tłok, który go zgniata do pożądanego kształtu (rys 3).

Łuska jest wykonana i gotowa do zaopatrzenia w materję zapalającą. Odbywa się to przy pomocy wirującego tłoka, który wprowadza materję do głowicy łuski i tam ją stłacza ku brzegom.

Jest to ostatnia czynność główna przy wykonaniu łuski, istnieje jeszcze cały szereg drobniejszych, a mianowicie: kolejne czyszczenia, mycia, kalibrowania i sprawdzenia, o których nie wspominaliśmy.

C. d. n.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

Ciąg dalszy.

Oczywiście zagajnik taki musi mieć i inne jeszcze sprzyjające warunki, aby „Mbawala" wybrała go sobie za schronisko, a to — bliskość żerowisk i dobrej wody, gdyż dalszych wycieczek poza obręb swego siedliska nie lubi. Rodzi się tam zazwyczaj, i tam dokonywa swego żywota. Ani bezpośrednie sąsiedztwo czarnych, ani gwar wsi murzyńskiej nie mogą jej wypłoszyć z takiego zagajnika. Doświadczenie nauczyło ją, że kafer do tych gąszczy z reguły nie zagląda, jakoże służą one im za cmentarzyska, a że również na nią nie poluje (mięsa „Mbawali" z powodu jakiegoś zabobonu tutejsi nie jedzą) więc mimo bliskości i wsi ludzkich czuje się w nim bezpieczną.

Nawet w okolicach, gdzie biały myśliwy zaczął ją niepokoić, nie opuszcza swego schroniska. Umie zato dostosować się do nowych warunków — już to ograniczając swoje wycieczki poza chroniący ją gąszczak do minimum — już to zmieniając porę i miejsca swych wychodów w ten sposób, aby dybiącemu nań myśliwemu nie wejść w drogę. Pilnie ją obserwujący myśliwy przychodzi po nieudałych zasadzkach do przekonania, że został podpatrzony i — o ile nie zaprzestał mozolnych poszukiwań za „Mbawalą" — musi zmienić plan działania, aby mógł liczyć na powodzenie. Przy jej nadzwyczajnym węchu, słuchu i wzroku — a zdaje się również dobrze widzieć w nocy — małe są już szanse jego, aby ją dostał na strzał kulowy; zresztą coraz rzadziej wysuwa się z gęstwiny, do której on zaglądnąć się waha, a poprzestając na suchszej strawie, bo na pękach i korze, trzyma się tam — bodaj dniem — tak długo, jak długo drażnią ją obserwujące jego oczy i jego niedyskretne dreptanie za nią — krok w krok. Poznawszy nowego nieprzyjaciela, białego myśliwego, broni się przed nim przedziwnie. Stare kozły, aby go wyprowadzić w pole, dochodzą we fintach swoich do mistrzostwa.

W ten sam sposób, o wiele jednak skuteczniej, broni się „Mbawala" przed drugim swym, pozornie jeszcze groźniejszym, bo bardziej wytrwałym prześladowcą — przed lampartem, przed swoim do tego — współlokatorem!

Określenie to wydaje się paradoksalnem, ale tak jest w rzeczywistości. Albowiem i ten drapieżca najbardziej lubi takie gąszcze jak i ona, tak samo nie stroni od sadyb ludzkich, tak samo wybiera sobie gęste oazy ciernistych krzaków za swe dzienne kryjówki, a może właśnie te, które zamieszkuje „Mbawala" — ze względu na nią. Tam ma swoje leża na grubszych wywrotach drzewnych lub między konarami większych drzew, tam wywodzi swe młode, i stamtąd robi wypady w poszukiwaniu żeru.

Oba te czworonogi. tak niezgodnych ze sobą właściwości organicznej oraz charakterów, mieszkają zazwyczaj — żeby się tak wyrazić — pod jednym dachem. Mieszkając obok siebie, muszą z natury rzeczy znać się z bliska, zwyczajnie jak współlokatorzy jednego schroniska. Ona — skromna, niegodząca w nikogo istota, zajmuje dolne części mieszkania, on — silny i zuchwały władca — wyższe apartamenta, jako zgodne z jego pańskiemi wymaganiami. Sąsiedztwo zatem bardzo bliskie.

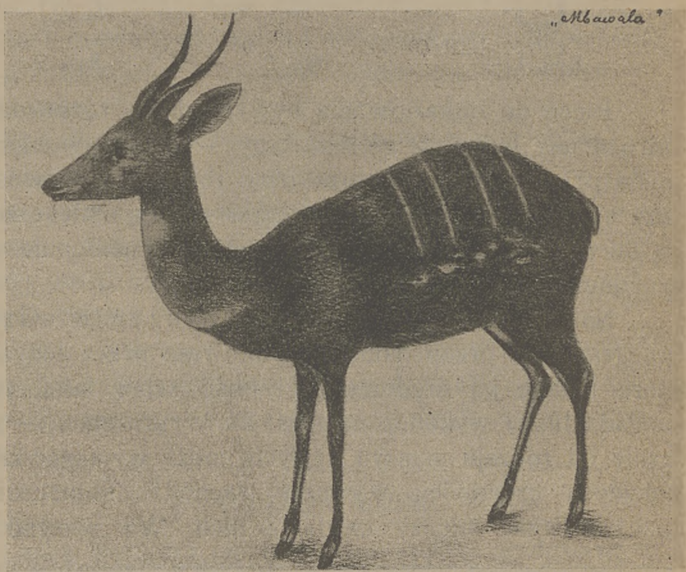
A nienawidzieć się muszą serdecznie, jak to często bywa między sąsiadami, a tragicznych zajść należałoby się spodziewać każdej chwili.

Tymczasem jest ich stosunkowo niewiele. Bo jakkolwiek ten drapieżny współlokator niepokoi ją ciągle, zwłaszcza nocą, to ona, mając się zawsze na baczności, mimo bliskości sąsiada, tak dla niej zapewne wstrętnego i niebezpiecznego, potrafi uniknąć konfliktów, któreby dla niej skończyły się fatalnie.

Trafiają się co prawda i nieszczęśliwe wypadki, ale nie są one regułą, raczej wyjątkiem.

W każdym razie żywot „Mbawali" wydać się musi nie do pozazdroszczenia w naszem ludzkiem zrozumieniu.

I dziwić się wypada, dlaczego ta antylopa wobec takich stosunków znosi to niemiłe sąsiedztwo? Dlaczego nie wyniesie się ze swego schroniska, skoro spostrzegła, że tak niebezpieczny lokator zadomowił się w jej pobliżu? Dlaczego nie szuka innych terenów, do których on nie zaglądа, ale znosi grożące jej ciągle niebezpieczeństwo ze stoicką niemal rezygnacją?



Antylopa „MBAWALA" według rysunku autora

Na te pytania nie łatwo odpowiedzieć.

Skoro jednak przyroda wyposażyła ją cechami, które najbardziej harmonizują z tego rodzaju otoczeniem jak owe oazy krzaczaste, a ona tam i przed człowiekiem, stokroć groźniejszym wrogiem, czuje się bezpieczną, to widoczne, że ten współlokator nie wiele potrafi jej szkodzić w jej własnem mieszkaniu, i że na własnych śmieciach zdoła sobie z nim poradzić i przed nim się bronić.

Co innego, gdy wyjdzie poza obręb chroniącego ją gąszczu, na wolne — trawą — lub zrzadka drzewami porosłe przestrzenie. Tu już teren pełen dla niej niebezpieczeństw i grozy. Tam czujność jej musi być zdwojona.

C. d. n.

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Batory na łowach.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy)

Ciąg dalszy.

Obok króla leżał na ziemi jeden z osaczników. Chcąc go zatrzymać, czy skierować na króla, uderzył na niego swym oszczepem. Niepewna ręka — słaby cios wymierzyła. Raniony lekko, rozsrożył się niedźwiedź jeno bardziej. I byłby niefortunny myśliwy głową nałożył, gdyby nie król. Srodze podrapany, ale nieszkodliwie, stracił ze strachu przytomność i zemdlał, a natarty teraz śniegiem, oprzytomniał. Dowiedziawszy się, kto jego zbawcą, przyczołgał się do stóp królewskich i ucałował je z wdzięcznością.

* * *

W obszernej izbie na leśnictwie zasiadł król ze swoją drużyną do obiadu. Palące się na kominku łuczywo rzucało łagodne blaski na biesiadników, na stół białym obrusem zaścielony i na święte obrazy na bielonych ścianach porozwieszane. Zrobiło się ciepło...

Dla psów rozścielono. w kątach izby wonne siano. Skorzystały też co rychlej z tej przysługi i zagrzebały się głęboko w miękkiej pościeli, zwinąwszy w kłęby swoje ciała. Także i służba legła na sianie.

Uczynił się nastrój miły i wesoły. Twarz Batorego jaśniała radością, a ożywienie jego udzieliło się wszystkim obecnym. Każdy rozmawiał półgłosem ochoczo i opowiadał o swoich przeżyciach myśliwskich. Wracano oczywiście do wydarzeń dnia, omawiano przygodę z niedźwiedziem i podziwiano odwagę, siłę i zręczność Jego Królewskiej Mości. Co chwilę też biegły korne, zachwytem błyszczące spojrzenia w jego stronę, a on siedział skromny, uśmiechnięty, serdeczny i taki bliski szlacheckiemu sercu, że wydawał się być nie królem wielkim i sławnym na świat cały, ale starszym bratem i dobrym sąsiadem na zagrodzie.

Imć Pan Krzysztof Bałuta, leśnik i gospodarz dzisiejszego polowania, przygotował posiłek. Po grzanem piwie przyszły mięsiwa. Krążyły półmiski z gorącą wieprzowiną i kapustą, z udźcami cielęcemi i baraniną. A że bractwo było głodne, spożywało szybko podawane potrawy. Raz poraz wracały próżne naczynia do kuchni po nowe dania. Pragnienie uśmierzano starym, doskonałym miodem.

Gdy pierwszy głód zaspokojono i nastała chwilowa cisza, odezwał się król głosem przemiłym: „Mości Panie Krzysztofie, opowiec nam Waść nieco o swoich przygodach z siłą nieczystą, która ponoć w tych stronach ma swoje locum i która drzewiej bardzo się tu panoszyła. Słyszałem o Waszmości już nieraz, jako że nadobnie opowiadać umiesz, czekałem tedy na sposobność, aby Waszmość usłyszeć i oto ona dzisiaj się nadarza“.

Umilkła wszelka rozmowa, ucichli nawet ci z towarzystwa, którzy grać w kości i swarzyć się już poczęli.

Pan Bałuta, bajarz zawołany, przysunął ławę do stołu, usiadł naprzeciw króla, uśmiechnął się, chrząknął i jął opowiadać z namaszczeniem, jako że zauważył oczy wszystkich na sobie spoczywające.

„Że istnieją tajemnicze siły, — mówił — z któremi ludziom zetknąć się nieraz przytrafi, to wielka prawda. Przemawiają one do człeka przedziwną oracją na pustych uroczyskach, na rozstajach, samotnych bagnach, jeziorach, leśnych rzekach i w ruinach zamków, lub zjawiają się przed nim, jako imagines zwierząt domowych, najczęściej kotów, psów, wreszcie nocnych ptaków i ogników błędnych.

Gdy za młodu przebywałem niedaleko Łęczycy, nasłuchałem się różnych opowiadań o djable-szlachcicu Borucie, strzegącym pilnie i zazdrośnie zaklętych skarbów, schowanych w podziemiach łęczyckiego zamku. O nim więc najpierw opowiem. Pan Boruta, którym jest jakiś szlachcic mazowiecki, albo może wielce grzeszny opat z Wąchocka, Mikołaj Biesiga, *) pokutujący za swoje występki, skoro wystraszy wszystkich śmiałków, pragnących wedrzeć się do skarbów, zamyka żelazne wrzeciądze kluczem piekielnym, który chowa do kieszeni kontusza, wychodzi, ludzką postać przybrawszy, na świat boży, między ludzi, mięsza się z bracią szlachtą i płata jej figle.

Dobrym pomaga, złym szkodzi. Szlachcica, co się pychą nadyma, co wdowy i sieroty krzywdzi, co tylko

*) Jan Ptaśnik. „Kultura wieków średnich“. I. Życie religijne i społeczne. Warszawa 1925.

suam utilitatem ma na oku, srodze nieraz strofuje, często obija lub wiedzie na manowce i bagna i często w nich topi.

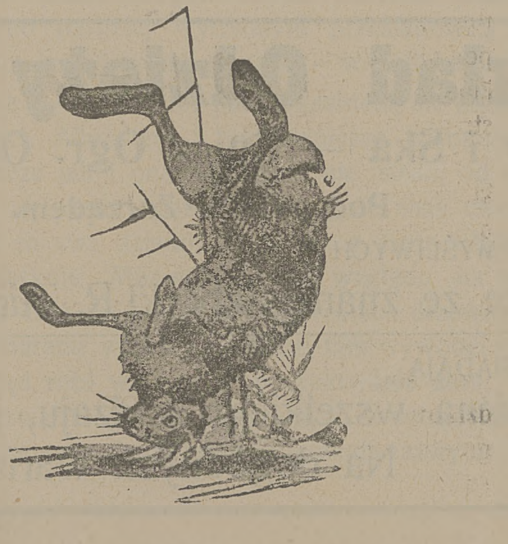
Interesuje się także losem par zakochanych i pomaga młodzieńcom, którzy z powodu ubóstwa albo nierównej paranteli, napotykają na trudności w zdobyciu ręki wysoko postawionej oblubienicy. A pomoc jego jest zawsze skuteczna. Niekiedy nie mogąc pomóc inaczej, ułatwia zakochanym tajemne schadzki i sprawia, że później rodzice nadobnej szlachcianki muszą wydawać córkę, za umiłowanego przez nią człowieka.

Nieszczęściem dla sejmiku bywa, jeśli zjawi się na nim Imć Pan Boruta. Ubrany w kontusz karmazynowy, z karabelą, wysadzaną drogiemi kamieniami, z czupryną zawsze starannie podgoloną, budzi swą fantazją i rezolutnością powszechną u braci szlachty estymę, tem większą, że spowodowawszy zatarg ze sobą, wyzywa audacter każdego przeciwnika na rękę i najlepszego nawet gracza siecze w pojedynku.

Pamiętam dobrze jego rysy, bo go niegdyś widziałem. Wysoki był i mocny. Głowę miał małą, twarz czerwoną. Z pod krzaczystych brwi patrzyły bystro i wyzywająco stalowe jego oczy. Mieniły się często i świeciły w ciemności... Pod sklepionym nosem, podobnym do dzióba drapieżnego ptaka, jeżyły się małe, po szwedzku przyczesane wąsy. Podczas oracji i w gniewie poruszał szybko nosem i wąsami, a z czupryny aż mu się kurzyło... Ulubionym jego zwyczajem bywało, że różnił ze sobą sejmikujące strony, wywoływał spory, dzieląc sejmik na dwa przeciwne stronnictwa, doprowadzał do bitwy, a sam w chwili starcia albo się chował w kącie i zacierał ręce z radości, albo znikał. Gdy szlachta wreszcie poznała, że nie było o co się kłócić i bić, gdy odkryła winowajcę i pogodzona ze sobą, chciała ławą ruszyć na niego, już go znaleść nie mogła, bo zapadł, jakby się stoczył pod ziemię.

Timeo, abyśmy go teraz tutaj nie zobaczyli. A może on to naprowadził ninie niedźwiedzia na pewną rękę Waszej Królewskiej Mości? Boruta swego króla kochać i należnym szacunkiem darzyć musi, bo szlachcic to, żołnierz i myśliwy.“

C. d. n.



MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI.

O KNIEI BEŁZKIEJ.

Bełz, dawniej miasto wojewódzkie, dziś biedna żydowska mieścina, słynna tylko z rabina-cudotwórcy, błota i... dzików w swym przepięknym choć niewielkim lesie.

Za serwitut rębania drzewa w lasach królewskich otrzymali swego czasu mieszczanie Bełzcy 960 ha lasu dębowo-sosnowego, a później dokupili od dawnych właścicieli majątku Prusinów 570 ha lasu sosnowego, o gruncie podmokłym, robiącego wrażenie rdzennego Polesia. Dlatego też knieja Bełzka składa się z dwóch chociaż zupełnie sąsiadujących, a mimo to zupełnie odmiennych części: z lasu Bełzkiego przeważnie liściastego, dębowego, lub mieszanego, o gęstem podszyciu, stanowiącego dotychczas istne chlewy dzicze i dającego gros ogólnych rozkładów — i z lasu Prusinowskiego, bagnistego, bez podszycia, zwykle pustego i dlatego rzadko opolowywanego.

Lasy Bełzkie zostały po raz pierwszy wydzierżawione w roku 1885 przez trzech ziemian powiatu Sokalskiego: ś. p. Aleksandra Hulimkę z Mycowa, ś. p. Tadeusza Kownackiego ze Świetarzowa i Juljusza hr. Tarnowskiego z Byszowa, a w roku 1886 zostało przez nich założone „Bełzkie Towarzystwo myśliwskie“, obejmujące 16 członków z prezesem ś. p. Al. Hulimką na czele i łowczym Kazimierzem Marmorossem, który po śmierci ś. p. Al. Hulimki w r. 1901 objął i prezesurę i tę dyktatorską podwójną władzę sprawował aż do wojny światowej.

Jak na wielu innych polach życia społecznego, tak i na Bełzkiem Towarzystwie myśliwskiem wyryła wojna światowa swe głębokie piętno, powodując zasadniczą zmianę w składzie członków Towarzystwa, którego prowadzenie w bardzo trudnych powojennych warunkach powierzone zostało niżej podpisanemu. Urząd łowczego spoczywa w doświadczonych i wytrawnych rękach Adama Kaplińskiego ze Skwarzawy, pióro prowadzi od roku 1910 Zygmunt Łączyński z Zaborza, a kasę Roman Kruszewski z Chorobrowa. Oprócz czterech wyżej wymienionych należą obecnie do Towarzystwa: Michał Hulimka z Uśmierza, Henryk Haszlakiewicz z Niestanic, Zdzisław Marmoross z Karowa, Stanisław Biliński z Szarpaniec, Władysław Lang z Wieczorek, Włodzimierz Patraszewski z Tarnoszyna i Marjan Osmolski z Władypola, razem dwunastu.

Z załączonego zestawienia rozkładów od r. 1886/87 do r. 1926/27 widać wyraźnie, do czego racjonalna gospodarka łowiecka, obliczona na dłuższy okres czasu, doprowadzić może, a dla sfer zainteresowanych powyższe zestawienie posłużyć może jako żywy przykład, że nie zawsze najwyższa oferta, ale bardzo często osoba dzierżawcy decydować powinna przy wydzierżawianiu terenów myśliwskich.

Kulminacyjnym rokiem, co do jakości rozkładu, był rok 1904/05, a może mało rewirów poszczycić się może

WYKAZ
ubitej zwierzyny w Kniei Bełskiej od r. 1886 do r. 1927.

ROK	Dzików	Rogaczy	Lisów	Zajęcy	Słonek	Cietrzewi	Jarząbk.	Różne	Razem	UWAGA
1886/87	2	1	3	3	—	—	—	—	9	
1887/88	3	—	3	3	—	—	—	—	9	
1888/89	10	5	8	13	—	—	—	—	36	
1889/90	1	5	6	11	—	—	3	—	26	
1890/91	3	6	7	30	—	—	4	—	50	
1891/92	4	8	8	18	2	—	2	—	42	
1892/93	1	5	7	87	—	1	10	—	111	
1893/94	—	7	4	43	—	—	3	1	58	
1894/95	3	8	3	36	—	—	1	—	51	
1895/96	1	9	6	31	1	—	6	—	54	
1896/97	—	9	10	55	—	—	1	1	76	
1897/98	1	8	6	35	—	—	—	1	51	
1898/99	—	15	9	58	1	1	—	2	86	
1899/1900	2	17	20	51	—	1	—	1	92	
1900/01	7	16	10	65	2	—	—	2	102	
1901/02	8	21	24	73	12	11	1	3	153	
1902/03	3	13	24	163	36	12	—	3	254	
1903/04										Brak protokołu
1904/05	20	30	33	119	26	10	—	4	246	
1905/06	6	36	31	104	1	—	—	1	179	
1906/07	3	7	19	129	1	5	—	1	165	
1907/08	5	9	10	94	25	3	—	5	151	
1908/09	8	7	17	74	1	—	—	1	108	
1909/10	2	20	16	44	10	4	—	2	98	
1910/11	15	15	17	184	17	1	—	7	256	
1911/12	7	15	7	227	7	—	—	3	313	
1912/13	—	13	11	134	6	4	—	3	171	
1913/14	6	13	10	135	2	1	—	—	167	
1918/19										Brak protokołu
1919/20	4	3	6	22	—	—	—	—	35	
1920/21	7	8	5	12	—	1	—	—	33	
1921/22	18	9	14	83	3	1	—	1	129	
1922/23	16	4	12	41	—	—	—	2	75	
1923/24	10	11	14	53	5	—	—	1	94	
1924/25	5	6	5	41	2	—	—	1	60	
1925/26	17	10	9	150	—	—	—	—	186	
1926/27	10	12	8	36	1	—	—	1	68	

takim iście królewskim czterodniowym rozkładem: 20 dzików, 30 rogaczy, 33 lisów, 26 słonek, 119 zajęcy. Rozkład ten dowodzi, że nie zawsze lis staje się tak niebezpiecznym sąsiadem sarn i zajęcy, a o ileż więcej dostarcza emocji w miocie!

Z tych zestawień skonstatować też można, jak kapryśne, tajemnicze i niezbadane są słonki w wyborze czasu i dróg swych przelotów!

Widzimy też, jak nieszczęsna zima 1906/07 nie oszczędziła naturalnie i kniei Bełzkiej.

Z rozkładów powojennych sezonów skonstatować znów można znane ogólnie zjawisko, że tylko dzik nie ucierpiał na wojnie. Stan sam, który stanowczo ucierpiał najbardziej, podnosi się bardzo wolno. Jednak ilość rogaczy na rozkładach byłaby w ostatnich 3 latach pewnie większa, gdyby nie były strzelane wyłącznie kulami dla uniknięcia znacznej ilości postrzałków przy strzałach śrutowych.

Bardzo przykrem, a można nawet twierdzić, że klęskowem następstwem wojny dla Bełzkiej kniei jest otoczenie lasu wianuszkiem kolonistów.

Gdy w styczniu 1926 roku w jednym dniu polowania podniesiono 13 dzików i 80 zajęcy, a 4-dniowy rozkład sezonu 1925/26 osiągnął cyfrę 186 sztuk, zdawało się, że przedwojenny stan zwierzyny, a zwłaszcza dzików, tej głównej atrakcji kniei Bełzkiej, został osiągnięty. Lecz radość była przedwczesna: jak grom z jasnego nieba spadła na drużynę Bełzką wieść o organi-



LEŚNICZÓWKA W KNIEI BEŁZKIEJ

zacji planu gospodarczego, o wizytach Pana Inspektora, o nakazach „czyszczenia“, „trzebienia“, „prześwietlania“, „przecinania“ i innych tym podobnych piekielnych pomysłów, których pierwszym skutkiem było, że w styczniu 1927 r. pomimo śniegu przez 2 dni szukaliśmy bez skutku dzików, bo 3, które padły, znalazły się zupełnie przypadkiem na rozkładzie.

Dalszym skutkiem jest fakt, że dzisiaj błąkają się już tylko resztki wypłoszonych dzików w postaci kilku zaledwie sztuk, a tylko 2 samury potrafiły jeszcze jakiś zaciszny kąt wynaleść, aby swym macierzyńskim powinnościom zadość uczynić.

I tak snują się jeszcze ich ciemne cienie po lasach Bełzkich, nie mogąc spokoju zaznać, a w poszumie wiatru starych dębów i sosen wyczuć się daje złowieszcze.... morituri..... morituri.......... i nastaje zmierzch kniei Bełzkiej!.......



Notatki bibljograficzne.

Juljan Ejsmond. W puszczy. (Opowieści o sercu zwierzęcem.) *Matka — Dwie moce — Akademik smorgoński — Miłość i śmierć — Przerwana pieśń — Ostatni — Kara* Z przedmową Józefa Weyssenhoffa. Gebethner i Wolff. 1927. Str. 129.

Płodność Ejsmonda jest niezwykła nietylko dlatego, że dużo produkuje, ale i dlatego, że niema w sobie nic z monotonności: jest różnobarwna — każdy jej objaw jest czemś nowem. Tym razem są to studja z życia dzikich zwierząt. Tłem jest puszcza polska. Aktorem jest zwierz. Człowieka niema na scenie, a jeśli na nią wchodzi, wchodzi po to, by wywołać zamierzony przez autora dysonans — zabawny lub tragiczny, albo też zilustrować jakieś dawne podanie lub fakt historyczny. Do pisania tego rodzaju utworów nie wystarczy sam tylko talent. Trzeba mieć znajomość życia puszczy, odmiennego w różnych roku porach, trzeba znać zwyczaje jej mieszkańców, trzeba być myśliwym i obserwatorem i mieć intuicję w odgadywaniu przejawów psychiki zwierzęcej. Pisarz, który to posiadł, szczęśliwszym jest od innych pisarzy. Bo ma zapewnioną ucieczkę do zwierząt — od ludzi. Temat zwierzęcy jest w literaturze odwieczny. Jedni używali go do alegorji, drudzy do bajek. Kipling do genjalnych fantazyj. W duszę zwierzęcia wglądnął Thompson, wglądnął Pergaud, wglądnął London. Pisali oni rzeczy niedoścignione, ale, dla nas zwłaszcza, często dziwnie obce. Tak popularnego Londona czytają ludzie aż do zachłyśnięcia, ale mało która z jego prac pozostawia w czytelniku uczucie zadowolenia estetycznego. Ejsmond jest estetą. Obrazy jego mają przy tem urok swojskości. Są wreszcie na wskróś oryginalne. Dlatego też nazywa je Weyssenhoff w przedmowie *„pierwszą próbą tego rodzaju w piśmiennictwie polskiem“*. Można jednak pójść dalej i powiedzieć, że jeśli chodzi o dobór motywów ze zwierzęcego świata łowieckiego, to książka Ejsmonda jest w swoim rodzaju jedyną nietylko w piśmiennictwie polskiem.

Antoni Pisuliński. W majowym zeszycie *„Łowca“* b. r. podaliśmy życiorys znakomitego naszego podróżnika-myśliwego, Antoniego Pisulińskiego i zaznajomiliśmy Czytelników z jego niezmiernie ciekawą książką p. t.: „Szlakiem słonia afrykańskiego“*) Książką tą nie wyczerpał oczywiście Pisuliński tych wszystkich wrażeń i spostrzeżeń, jakie zebrał w ciągu swych wędrówek po dziczy afrykańskiej. Materjał — ten tylko, który dowiózł on do kraju, — po stracie bezcennych zbiorów po drodze (z powodu braku funduszów) — był niewyczerpanem źródłem do badań i publikacyj. Niestety nasza nędza wydawnicza i opieszałość społeczeństwa kazała mu czterdzieści lat czekać na wydrukowanie wymienionej wyżej książki. W okresie tym przyszła wojna światowa. Ofarą jej padły kolekcje przyrodnicze, myśliwskie i etnologiczne Pisulińskiego. Ocalał, jak wiadomo, manuskrypt i luźne notatki. Manuskrypt doczekał się wreszcie druku. Obecnie przyszła kolej na porządkowanie i reprodukowanie

*) Do nabycia we wszystkich księgarniach, jakoteż w biurze M. T. Ł.

reszty ocalonych zapisków. Ich część przeznaczył Szanowny Autor dla *„Łowca“*. Dzięki temu rozpoczął *„Łowiec“* już w poprzednim zeszycie publikację „Obrazków z życia egzotycznych zwierząt łownych“, a mianowicie ich części pierwszej p. t.: **Antylopa „Mbawala“ a lampart.** Obrazki te, będące wynikiem bezpośrednich, własnych spostrzeżeń śmiałego badacza, który z pogardą niebezpieczeństwa zapędzał się w nieznane kraje, wzbudzą niewątpliwie zainteresowanie w szerokich Kołach Czytelników, zwłaszcza, że tego rodzaju oryginalne polskie opisy z dziedziny fauny egzotycznej, należą w naszem piśmiennictwie z natury rzeczy do rzadkości. *W. Z.*

Korespondencje



Lisowice, w listopadzie 1927.

Obfity tegoroczny nalot słonek w nizinnych rewirach Lisowic, a w szczególności na t. zw. „Dąbrowie“, dał nam przez dni kilka możność użycia — prawdziwej rozkoszy łowieckiej! Dzików, niestety, bardzo mało — silnie przez wilki prześladowane, a w dodatku dla braku żeru, opuściły widocznie naszą knieję. Trzy wilki były strzelane.

Na dziesięciodniowych łowach jesiennych w dniach od 17. do 27. października b. r. ubito: 1 wilka, 2 dziki, 4 rogacze, 42 zające, 16 lisów, 5 jarząbków, 56 słonek, 2 sowy uralskie, 1 tchórza, 1 kozę (ubitą ze złamanym badylem). Razem 130 sztuk, na strzałów 388.

Juljusz Borkowski.

* * *

Rożyska, w listopadzie 1927.

Towarzystwo myśliwskie „Kostrzyca“ polowało w 7 strzelb, w swoim rewirze Majdan Górny koło Nadwórny, w dniach 24, 25 i 26 października 1927. Rozkład ogolny wynosił:

5 jarząbków, 1 rogacz, 5 lisów, 1 sowa uralska, 4 słonki i 18 zajęcy. Widziany był 1 jeleń i 5 dzików, które jednak uszły flanką niestrzelane z powodu wielkich miotów, a małej ilości strzelb.

Kazimierz Grocholski.

* * *

Surochów, w październiku 1927.

Idąc dnia 29. września rano przez pola, pomknął przedemną z koniczyny zając. Z ciekawości wszedłem do koniczyny, aby odszukać kotlinę, gdzie zając sobie nocował. Nie mogąc jej znaleść, wracałem miedzą, gdy wtem z pod nóg zakniaziło „coś“; gdym się schylił, zobaczyłem pod moją nogą małego zajączka. Młode było jeszcze na tyle nie wyrośnięte, że ani chodzić, ani biegać nie umiało, zaledwo czołgało się i ja musiałem trącić je nogą, na co mały zaskarżył się.

Zajączka wziąłem do ręki, oglądnąłem i nabrałem przekonania, że nie jest on starszy nad 3—4 dni. Dzieląc się z tym — jak sądzę — ciekawym zjawiskiem późnego okocenia się zajęczycy, z czytelnikami, dodam jeszcze, że spotkanie miało miejsce na polach wsi Surochów pod Jarosławiem, na terenie, gdzie przed paru tygodniami San wylał i gdzie wogóle nader często pola są zalewane. *Inż. Stefan Reichard.*

* * *

Czortków, w listopadzie 1927.

Starostwo czortkowskie na wniosek delegatów przedłużyło czas ochrony dla zajęcy do listopada. Motywy: słaby stan zwierzyny i opóźnianie się procesu rozmnoży z powodu niebywale ciepłej i pogodnej pory (we wrześniu), zapowiadającej się na całą jesień.

Motywem zaś właściwym, choć nieoficjalnym, jest przeciwdziałanie zgubnym skutkom wadliwej ustawy,

która pozwala polować na zające już w październiku. Wiemy zaś dobrze, jak te październikowe polowania wyglądają. Jestto ogólna mobilizacja wszystkich myśliwych pośledniejszego garunku — bo myśliwi szanujący się, już ten sposób polowania zarzucili — celem wydeptywania i wybijania śpiących po bruzdach zajęczyc. Pogodna za zaś zwykle pora i wygodne chodzenie po suchych jeszcze zagonach, zachęca do uprawiania tego procederu od rana do zmroku.

Staranie o drzedłużenie czasu ochronnego do listopada postanawia powiat czortkowski wprowadzić na przyszłość jako regułę — a byłoby rzeczą wprost zbawienną dla zwierzostanu zajęczego, gdyby ta zasada mogła się przyjąć w całym kraju. *Z.*

* * *

Z RYKOWISKA 1927

Lubię nastroje, gdy w jesienne rano,
zanim od dolin miękkie mgły odstaną —
a słońce blaskiem szczyty gór ozłoci,
potężnym rykiem jeleń świat wyzywa
w walce o miłość—wtedy dreszcz przeszywa
serce myśliwskie — drży i serce moje..
Lubię nastroje!

Lub gdy w pogodne jesienne południe
świat się rozleni jakoś sennie nudnie,
wiatru podmuchy jodeł nie kołyszą,
i góry całe napełnią się ciszą,
w słońcu się kładę w miękkich mchów posłanie
wsłuchany w ciszę — i w ciszy wołanie
cały ulegam... milkną myśli roje...
Lubię nastroje...

Lub, gdy wyszedłszy na sam szczyt Gorganu,
w dole las słyszę, jak odgłos organu,
czuję się silnym po walce z trudami!
Świat czuję cały pod memi nogami!
Czuję się młodym — serce się weseli,
że od chmur, nieba, już mię nic nie dzieli,
Jakbym jaźń swoją okół w nową zbroję!
Lubię nastroje!

Lecz gdy z południa taki wiatr zawieje,
że się wydaje, że sam czart się śmieje,
jelenie zmilkną, a człowiek spocony,
zgrzany, zmordowan, patrzy na wsze strony,
gdzieby tu poleźć, bo wie z przekonania,
że nie usłyszy już dzisiaj „rykania“ —
wtedy w rewirze snuje się nas troje:
ja, byk i cisza — ale nie nastroje —
i tego, psia krew, nie lubię!... *W. J. D.*

Dzików, w listopadzie 1927.

Patrona myślistwa uczcił Zdzisław hr. Tarnowski dwudniowem polowaniem, 3. i 4. listopada w puszczy Sandomierskiej.

Ośmiu pp. myśliwych: Zdzisława ks. Lubomirskiego, Janusza ks. Radziwiłła, Eustachego ks. Sapiehę, Hieronima hr. Tarnowskiego, Jana hr. Tyszkiewicza, Adama hr. Zamoyskiego, Tomasza hr. Zamoyskiego, Zygmunta hr. Zamoyskiego, podejmował gospodarz, wraz z synem Arturem i zięciami Władysławem hr. Tyszkiewiczem i Andrzejem hr. Potockim, którzy jednak w roli gospodarzy stanowisk nie zajmowali.

Pierwszego dnia w Krawcach i Budzie wzięto siedm miotów, zaś drugiego dnia w Jadachach, Dęby i Rozalinie sześć miotów.

Polowano z podwójną naganką, a dla zyskania na czasie podczas bardzo dalekich przejazdów pp. myśliwych z miotu do miotu, użyto zamiast podjazdów konnych — poraz pierwszy, z bardzo dobrym wynikiem, samochodów; obawy co do płoszenia zwierzyny podczas przejazdu samochodami przez puszczę okazały się płonne.

Niekorzystne warunki atmosferyczne (przez oba dni bowiem popadywał deszcz), źle wpłynęły na prowadzenie łowów, gdyż część naganki pierwszego dnia zaraz wróciła do domu, a zmniejszona jej ilość szła mniej równo, omijając mokre gąszcza,

Ogólny wynik dwudniowego polowania wynosił:

3 jelenie, 3 rogacze szóstaki, 11 dzików, 53 lisy, 1 borsuk, 2 słonki i 1 kruk — ogólnie 74 sztuki.

Preliminarz rozkładu nie dopisał z powodu deszczu, jak również z powodu koniecznej częstej zmiany broni śrutowej na kulową i odwrotnie, wywołanej różnorodnością zwierzyny, co utrudnia strzelanie.

Oskar Fiedler
Łowczy
Delegat M. T. Ł. na pow. tarnobrzeski.

* * *

Nieżuchów, w listopadzie 1927.

W dniach 22. i 23. listopada b. r. odbyło się polowanie w 16 strzelb w kniejach Rozhurcza, Siemiginowa i Łukawicy górnej.

Wielu myśliwym znane są te wspaniałe knieje i wielu z nas łączą z niemi pełne wzruszeń wspomnienia, spotkań z czarnym i płowym zwierzem — a nawet ubity przed naganką w zeszłym sezonie niedźwiedź ukoronował świetne tych polowań rozkłady. I tym razem knieja nie zawiodła naszych nadziei — w miocie bowiem „Czerteż“ stadko z 5 wilków złożone nielada emocję sprawiło większości myśliwych, dając aż 19 spotkań z tym zwierzem.

Na rozkładzie znalazły się niestety tylko 2 piękne wilki — reszta szczęśliwie uniknęła kul, któremi gęsto, niemal na całej linji, je witano.

Pozatem padły 4 dziki, dużo jednak dzików, nawet widzianych, z powodu silnego wichru jużto nie dało się wyprzeć z zapustów świerkowych — jużt przebiło się przez naganke. *A. O.*



POLOWANIE W DZIKOWIE W DNIACH 3. i 4. LISTOPADA 1927

Rozkład: 3 jelenie — 3 rogacze szóstaki — 11 dzików — 53 lisy — 1 borsuk — 2 słonki — 1 kruk — ogółem 74 sztuki



1. Zdzisław ks. Lubomirski, 2. Janusz ks. Radziwiłł, 3. Eustachy ks. Sapieha, 4. Hieronim hr. Tarnowski, 5. Jan hr. Tyszkiewicz, 6. Adam hr. Zamoyski, 7. Tomasz hr. Zamoyski, 8. Zygmunt hr. Zamoyski, 9. Zdzisław hr. Tarnowski, 10. Artur hr. Tarnowski, 11. Władysław hr. Tyszkiewicz, 12. Andrzej hr. Potocki, 13. Łowczy p. Oskar Fiedler, 14. Łowczy p. Roman Sarnecki.



Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 9. listopada 1927 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: Wł. hr. Dzieduszycki, T. Jędrzejowicz, E. Münter, St. Pieńczykowski i H. Prek; zastępcy członków Wydziału: St. Kiełczewski, Dr. F. Piechowski i Dr. J. Rosinkiewicz; zaproszony: M. Chrzanowski.

Nieobecność usprawiedliwili: wicepr. C. Czarkowski-Golejewski, wicepr. gen. J. Stiller, inż. Adam Ebenberger, Dr. A. Małaczyński i St. Jaśkiewicz.

Przedmiotem żywej dyskusji była wiadomość udzielona Wydziałowi przez Oddział w Krakowie, że Urząd wojewódzki w Krakowie wysunął niespodzianie pewne trudności w sprawie formalnego utworzenia tego Oddziału. Postanowiono z powzięciem uchwał w tym względzie wstrzymać się, aż do otrzymania odnośnego reskryptu tamt. Urzędu wojewódzkiego.

Ostateczne uregulowanie sprawy zaległości członków powierzono Komisji, złożonej z panów: C. Czarkowskiego-Golejewskiego, St. Pieńczykowskiego, Dr. Rosienkiewicza i Dr. A. Sandera. Zadaniem tej Komisji będzie nawiązać ścisły kontakt z tymi członkami Towarzystwa, od których wyrównania zaległości spodziewać się można, a skreślić z listy tych, u których ta akcja nie rokuje już żadnej nadziei. Od powodzenia tej akcji zależeć będzie rozpoczęcie wydawania „Łowca“ jako dwutygodnika.

Omówiono poleconą przez ostatni Walny Zjazd sprawę stworzenia odznaki honorowej dla zasłużonych członków straży łowieckiej w myśl pisemnego wniosku członka Towarzystwa Hieronima hr. Tarnowskiego i przyjęto projekt odpowiedniej odznaki, wykonanej przez Pana Jana Wesołowskiego.

W poczet członków zostali przyjęci: Stanisław Borowski w Wyżłowie, powiat Stryj; Michał Hulimka w Uśmierzu, powiat Sokal; Ludwik Knobloch w Kamionce Strumiłłowej; Karol Niemiec w Kamionce Strumiłłowej i Dr. Walerjan Zaklika w Tehlowie, powiat Rawa ruska.

MISTRZ - ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

(Ciąg dalszy)

Sunie przed moją kryjówką, ruchem wężowym, potwór nadnaturalnych wprost rozmiarów. Olbrzymie pierścienie tej akopaliptycznej bestji, zwijają się i rozwijają, w potwornych skrętach. Stalowo błyszczą w świetle księżyca łuski szczerbate, z metalicznym chrzęstem ocierają się o siebie i taki czynią rumor, że zda się całe ładunki jadą starego żelaziwa, po wyboistym bruku. Nie chcę przesadzać, aby nie stracić u was wiary, lecz cień, jaki rzuca to niebywałe cielsko, chyba pół płaskości zajmuje. Długość tej żmii tak jest niepomierną, że gdym się złożył, chcąc strzelić do bestji, do głowy było już na strzał za daleko, a końca ogona jeszcze widać nie było. Gdzież tu w takiem cielsku komory szukać? Włosy jak druty stanęły mi na głowie, przeszedł mnie zimny dreszcz trwogi, sztuciec wypadł z drżącej prawicy.

Zamarłem w bezruchu za moją skrzynią. Pierwszy raz w życiu doznałem uczucia przerażenia, pierwszy raz ręka strzelby nie podniosła do twarzy, by strzelić do idącego na połeć zwierzą,

Poznałem, z kim miałem do czynienia. Zrozumiecie i wybaczycie mi mój strach.

Był to wąż morski, ów bajeczny, a jednak rzeczywiście istniejący mieszkaniec niezmierzonych przestworzy Atlantyku, tak straszny w opisach starych wilków morskich i wszystkowiednych gazeciarzy. Potwór olbrzymi, żywiący się wielorybami, którego jaja pływają po morzu, do wysp wyniosłych podobne, który, gdy w ląd ogonem uderzy, wywołuje ziemi wstrząsy.

Lonżowała mnie ta poczwara na jakich kroków trzydzieści. Przez pół godziny niemniej przewalały się z chrzęstem przedemną olbrzymie zwoje. Wreszcie z rykiem podobnym do grzmotu stu dział wielkiego kalibru zsuwać się zaczął w morze. Fala — jak trzypiętrowa kamienica, zalała powrotem całe pobrzeże omal mnie nie strąciwszy w głębokości wodne.

Długo nie mogłem przyjść do siebie i długo jeszcze biło moje serce w tempie prestissimo, z obawy przed powrotem niesamowitego wielkozwierza. Dopiero gdy księżyc zaszedł, a świt blady, na niebiosach rozpostarł seledynową oponę, dopiero ze wstającym dniem, powróciłem do równowagi duchowej.

Ładna i malownicza to rzecz wybrzeże morskie, — pomyślałem, — ale zdradne goście tu koczują. Trzeba się ustąpić tej przedpotopowej gadzinie, lądy i góry za-

Przyjęto do wiadomości rezygnację delegata Tadeusza Görtza w Kołomyji, a resztę spraw delegackich odłożono do następnego posiedzenia z powodu nieobecności ich stałego referenta.



Z Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w Krakowie.

Jako delegat Szanownego Towarzystwa, pozwalam sobie przesłać krótkie sprawozdanie o stosunkach łowieckich w naszym powiecie dąbrowskim.

1. Dzięki wnioskowi delegatów Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, powziętemu na posiedzeniu odbytem w Dąbrowie 16 lutego b. r., przedłużyło tutejsze Starostwo czas ochrony na zające w całym powiecie do dnia 15 listopada b. r., który następnie ma się rozpocząć w dniu 16 stycznia 1928. — Rozporządzenie to okazało się zbawiennem w skutkach, bo zające z ostatnich lęgów zaledwie w ostatnich tygodniach dopiero podrosły.

2. Na skutek naszej opinji zamknęło również Starostwo dąbrowskie na przeciąg lat 2 polowanie na wszystkich terenach Spółek łowieckich, gdzie to, wskutek nieracjonalnego wykonywania prawa polowania i panoszącego się kłusownictwa oraz wnykarstwa, zwierzostan z przerażającą szybkością zmniejszać się zaczął.

---

porą postawić, między nią a sobą. Toż gdyby się była przeczołgiwała cokolwiek bliżej mojej kryjówki, na proch, na miazgę byłaby mnie starła. Na nadbrzeżnym piasku, wyrwa na półtora sążnia, znaczy drogę pochodu bestji, z piekła rodem, morze jeszcze teraz gorączkowo faluje, w miejscu, gdzie potwór dał nura.

Niema co, bezzwłocznie zbieram moje nieliczne manatki i przenoszę się w głąb lądu. Zawsze powinno tam być bezpieczniej.

Nie zatrzymuje mnie w szybkim pochodzie puszysta dolina, wszelakiego zwierza egzotycznego pełna. Nie nęci mnie sędziwy, brodaty gnu, o ponurem, krwią nabiegłem oku, co stał samotny, na straży pasącego się stada i racicami grzebiąc, do walki zdał się wyzywać. Przeszedłem obojętny mimo całych stad bawołów, zebr i antylop. Dwa lwy pod stado elandów się podkradające, nie skusiły mnie do strzału.

Byle dalej, byle prędzej od morza uciec, byle dopaść zbawczych lasów, położonych na wysokich górach. Mam nadzieję, że w gęstym borze nie będzie miejsca dla tej zmory.

Cały dzień mi przeszedł na wykonaniu tego strategicznego odwrotu, tak że gdy folgę dać postanowiłem znużonym członkom, już „promienisty“ białe swe ogiery napawał w morzu.

W miejscu, gdzie mi wypadł postój, wspaniałe olbrzymy leśne otaczały wieńcem niewielką polankę, porosłą bujną trawą. Pomny przysłowia, że strzeżonego Bóg strzeże i pouczony zeszłorocznem przykrem doświadczeniem, postanowiłem noc przepędzić na drzewie. Twarde to wprawdzie łoże i niewygodne, ale od apokaliptycznych dziwolągów bezpieczne.

Lecz sen nie przychodził i długo łowiłem nieufnem uchem nocne szmery puszczy, zanim w końcu znużeniu uległszy, smacznie chrapnąłem. . . . .

. . . .

Zbudził mnie poranny rozgwar ptasi.

W mojej panicznej ucieczce, cały przejęty dążeniem położenia jaknajwiększego dystansu między sobą, a przeklętym morskim gadem, nie zauważyłem zmiany w mojem położeniu.

Tam w dole, na obszernych równinach, podzwrotnikowa fauna i flora rozwijały swoje powaby. Przewijała się przed oczyma zwierzyna, tyle nam znana z opisów naszych afrykańskich myśliwych. Kolczate, akacjowe gaje, szły naprzemian z samotnie stojącemi olbrzymami gorącej strefy, baobabami, krasiły murawę nieznane kwiaty, co barw pożyczyły od tęczy.

Samoistne okręgi łowieckie są dla polowania otwarte, lecz zwierzostan na nich, choć lepszy, dużo pozostawia jeszcze do życzenia, bo nieliczni tylko obywatele (właściciele większej własności) o zwierzynę prawdziwie się troszczą, a i zadanie nasze jest wysoce trudnem do spełnienia, bo samoistne okręgi nasze są ze wszech stron otoczone polowaniami gminnemi, na których dzierżawcy urządzają prawie codziennie polowania z nagonką, a kłusownicy bezkarnie zupełnie grasują, zapuszczając zagony i na nasze tereny. Wobec zamknięcia polowania (jak wyżej) niebezpieczeństwo wytępienia zwierzyny wskutek za częstych „legalnie“ urządzanych polowań zostało na przeciąg 2 lat odsunięte. Należałoby tylko ostro zabrać się do kłusowników i wnykarzy, a że największe wysiłki jednostek nie na wiele się tu przydadzą, zwracam się do Szan. Towarzystwa z prośbą o odniesienie się do Starostwa w Dąbrowie, by poleciło wszystkim Posterunkom Policji Państwowej kłusowników i wnykarzy ścigać, przy równoczesnem wdrażaniu przeciw takowym skargi sądowej.

3. Należałoby również zwrócić się do naszych reprezentantów w Warszawie, by wnieśli w Ministerstwie Sprawiedliwości instancję o najostrzejszy, ustawą przewidziany wymiar kar sądowych, które są u nas bardzo rzadko stosowane i zwykle zawieszane na rok, czyli że kłusownictwo uchodzi zupełnie bezkarnie.

Uważam sobie za obowiązek zwrócić się do Szan. Towarzystwa z prośbą o gorące zajęcie się tą sprawą, bo najlepszym dowodem, jak rozwielmożniło się kłusownictwo i wnykarstwo jest, że na moim terenie łowieckim odbieram co rok po kilka strzelb, a w 20-to morgowym parku zbieram rocznie po kilkaset drutów na zające i kilkanaście włosiennych sideł na kuropatwy.

4. Jestem zdania, że należałoby koniecznie w naszym powiecie odświeżyć krew zwierzyny łownej, a specjalnie kuropatw, które wskutek choroby wątroby w ostatnich latach znacznie ucierpiały, i w tym celu proszę Szan. Towarzystwo o podanie mi źródeł, skąd mógłbym z wiosną kilkanaście par kuropatw oraz zajęcy po niezbyt wygórowanych cenach zakupić.

Na tem kończę sprawozdanie moje, którego dalszy ciąg pozwolę sobie Szan. Towarzystwu przesłać po sezonie polowań zimowych.

Cześć św. Hubertowi!

Feliks Jordan Stojowski
Delegat na pow. dąbrowski.



Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Wolski Zdzisław zł. 20·—; Tow. Myśl. św. Huberta w Krakowie zł. 80·—; Z. Z. P. L. zł. 5·—; Jüngst Marjan zł. 8·—; Pistyner L. zł. 5·—.



Komunikaty.

Lubaczów, dnia 24. XI. 1927. Starostwo w Lubaczowie, Województwo Lwowskie. — Do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie. L. 34006/8. Po myśli reskryptu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dnia 27 III. 1927 Nr. AP. 2907/27 upraszam o łaskawe umieszczenie na łamach Szanownego pisma następujące ogłoszenie: Starostwo w Lubaczowie urządza na dniu 28-go grudnia 1927 o godzinie 10-tej przedpołudniem w biurze Nr. 4/a przetarg skonfiskowanej broni palnej 76 sztuk, przedstawiającej 150 kg łomu. — Starosta: Błocki, m. p

---

Starostwo w Skolem L. 26396/5. Skole, dnia 16 listopada 1927. Prawo polowania na terytorjum Spółki łowieckiej w Orawczyku. OGŁOSZENIE. Niniejszem rozpisuję publiczną licytację dzierżawy polowania na terytorjum Okręgu Spółki łowieckiej w Orawczyku, na sześcioletni okres dzierżawny t. j. od 1 lutego 1928 do 31 stycznia 1934 r. Obszar: 2103 ha, 32 a, 13 m^3. Oddalenie od stacji kolejowej w Skolem: 22 km. Wadjum: 100 zł. Oferty należy wnosić w zaklejonych kopertach, zaopatrzonych napisem „Polowanie Orawczyk“ do Zwierchności gminnej w Orawczyku w terminie do dnia 6-go grudnia 1927 r. do godziny 10. — Otwarcie ofert nastąpi dnia 6 grudnia 1927 r. o godzinie 10-tej w Urzędzie gminnym w Orawczyku przez urzędnika delegowanego ze Starostwa w Skolem. Zastrzegam sobie zatwierdzenie oferty. — Starosta: Karol Mahr, m. p.

Wielkie polowanie dyplomatyczne w Spale.

Wielkie polowanie dyplomatyczne w Spale miało się ku końcowi. Dzik, na którego czyhali w tym roku wszyscy wysocy myśliwi, umykał sprytnie przed strzałem. Zdawało się, że polowanie skończy się fiaskiem. Jeden z posłów zagranicznych, którego szczególnie przejęła ambicja ubicia owego dzika, chluby lasów spalskich, dostał gorączki ze zmartwienia.

Towarzystwo wracało w złym humorze do zamku. Wtem w odległości jakichś 400 m. wyłonił się z poza drzew dzik, który tyle przykrości narobił dyplomatom.

Minister komunikacji, który właśnie rozmawiał z posłem argentyńskim i brał do ręki na rozgrzewkę kieliszek wódeczki, odruchowo oddał go towarzyszowi i zmierzył się. Poseł argentyński nie dał za wygraną. Potrącił ministra i krzyknął:

— Wychyl pan ten kieliszek przed strzałem.

Minister podniecony chwilą, aby nie wdawać się w dyskusję z posłem, chwycił kieliszek i momentalnie wypił wódkę. W tej chwili huknęło kilkanaście strzałów. Wszystkie chybiły.

Dzik umykał.

Minister komunikacji nie tracąc (jak zwykle każdy minister) przytomności, zmierzył się. Znowu strzał padł. Wszyscy oniemieli.

Dzik runął jak długi na ziemię i zanim zbiegli się ludzie — już nie żył.

Całe dostojne towarzystwo zaczęło cisnąć się do zwycięzcy, aby pogratulować mu niezwykłego sukcesu.

— Panowie — krzyknął wzruszony minister komunikacji. — Jeżeli ubiłem tego dzika, to zawdzięczam to ostatniemu kieliszkowi napoju, jaki wychyliłem przed strzałem.

— Cóż to za tajemniczy napój? — zagadnął znany dyplomata brazylijski.

— Wódka „Myśliwska" firmy Kantorowicz. Innej nie używamy — uśmiechnął się do posła argentyńskiego.

Odtąd na polskich polowaniach (nie tylko w lesie) pije się powszechnie wódkę „Myśliwską" Kantorowicza, którą oglądnąć i skosztować można w powszechnie znanej firmie W. Musiałowicz — Lwów, Akademicka.

Pijmy zatem wszyscy ministerjalną wódkę „Myśliwską"!



Baczność panowie myśliwi!

W połowie grudnia ukaże się

„KALENDARZ MYŚLIWSKI”

na rok 1928

pod redakcją **JULJANA EJSMONDA**

Na treść obficie ilustrowanego Kalendarza złoży się calendarjum myśliwskie, obejmujące wg. miesięcy życia zwierzyny, rodzaje polowań i wskazówki hodowlane, **tekst nowej ustawy łowieckiej, jednolitej dla całego państwa,** wskazówki dotyczące tresury i leczenia psów myśliwskich, pielęgnowania broni, strzelania, preparowania zwierzyny oraz wzory regulaminów łowieckich i kroniki myśliwskiej.

Wysyłka uskuteczniona będzie za zaliczeniem pocztowem. Cena Kalendarza 5 zł. oraz koszty przesyłki 80 gr. Kalendarz rozesłany zostanie niezwłocznie po wydaniu.

Zamówienia należy kierować pod adresem; Juljan Ejsmond pl. 3-ch Krzyży 12 m 3a, Warszawa.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek.

Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.